

## Seweryn Goszczyński: Dziennik podróży do Tatrów (fragment)

Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić jak powietrze górskie i woda górska trawią dzielnie i budzą łaknienie – radzi Seweryn Goszczyński, autor „Dziennika podróży do Tatrów”, którego fragment publikujemy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tatry. Narkotyk inteligenta”.

WOŁOSZYN. — ROSTOK POTOK. — SIKLAWA WODA. — WODOSPAD. — PIĘCIOSTAWY JEZIORA. — ŚWISTOWA GÓRA. — MORSKIE OKO.

13 Sierpnia 1832 r.

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej drogą wygodną, przestronną, urządzoną i utrzymywaną kosztem właściciela tych okolic P. Homolacza, która się poczyna od Nowego Targu a przechodzi przez wsie Biały Dunajec, Poronin, Leśniczostwo Bukowińskie aż do Morskiego Oka. Droga ta jest utrzymana jak tylko być może najlepiej tam, gdzie jedna ulewa rozburza najmocniejsze kamienne dzieła.

Śliczny poranek spełnił przepowiednie wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów, wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości; tylko groźniejsze od innych

lodowce błyszcząły wiecznym śniegiem.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskim a polskim powietrzem; kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej; ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czucia, na całą istotę człowieka: zdaje się że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu co na równi z nią Boga czuć potrafi.

*Nagi Wołoszyn, za ledwo  
nędzną murawą i mchem  
przystrojony, z głową  
przypruszoną śniegiem, stał  
tu jak odźwierny*

Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się a wówczas powitała nas z boku jakaś

roskoszna dolina, jakaś góra naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Tak minęliśmy Niebieską Dolinę, polany: Głodową i Klinkówkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Na raz ujrzelśmy się na Polanie zwanej Łysa, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Do koła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne płaczącem się kozodrzewiem, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwo nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przypruszoną śniegiem, stał tu jak odźwierny.

Pojrzałem do koła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany! i poświęciłbym lata, przebłąkałbym lata wśród ciebie, gdyby to od mojej woli zależało!

Od Łysej polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białą, wciąż po pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilką laty było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód zwanych Cieplicami, że w czasie najtęszej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się dla posiłku. — Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić jak powietrze górskie i woda górska trawią dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białą na uboczu góry leżała polana Białowoda; na południe szła droga ku Morskiemu Oku; od zachodu mieliśmy dolinę Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu-stawów i wpada do Biały, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wąska i głęboka na kilkaset sążni, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem; ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy postrzegli że się znajdujemy na

wysokości na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej.

*Strzelec zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, za zwyczaj w jakimś miejscu niedostępnem, przyczaja się w skałach i czeka zwierzyny*

Około pół godziny drapaliśmy się pod górę wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków przy ogromie mas dokoła siedzących; cała jej powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta

grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy wyszli, pokazano nam w niezmiernej wysokości dwie dzikie kozy; gołemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwone plamki, dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy że się jedna pała, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę; w tem np. miejscu któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jej uboczu, jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień niezatrzymany niczem dla nadzwyczajnej gór spadzistości stacza się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła, strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy, pojedynczo. Strzelec zaopatrzonej w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, za zwyczaj w jakimś miejscu niedostępnym, przyczajają się w skałach i czeka zwierzę. Wiadomy miejsc i obyczajów zwierzę, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści pod jego nogami, wtedy kładzie się na kamieniu połową ciała wychylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrzejsze a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaskoczy; a mgły zwłaszcza na Krywanii są tak gęste, że człowiek wśród niej nóg własnych widzieć niemoże, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje tylko siedzieć w miejscu i czekać aż się mgła usunie.

*Mgły na Krywanii są tak gęste, że człowiek wśród niej nóg własnych widzieć niemoże, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje tylko siedzieć w miejscu i czekać aż się mgła usunie*

Odpocząwszy spuściliśmy się znowu z góry ku wodom Rostoka, i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysięcznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głązy i

drzewa postrącane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawałone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za to kilkaset-sążniowe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca gdzieśmy wkraczali do strefy już kozodrzewia, ujrzeliśmy nakoniec Sikławą wodę; jest to wodospad utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego więcej jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tem szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tem trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Rostok, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdym kilkudziesięciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądziemy być u kresu, złudzenie! do spodu Sikławej wody niepodobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczyrych prostopadłych opok; musimy piąć się wyżej. Krótka w prawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej niemieliśmy dotąd, bo po uboczach to skalistych to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci.

Przebyliśmy wreszcie wszystko, dościgliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewala się Sikława woda, i zgrzani, wpółomdleni padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Przekrojony od sterczącej na wierzchu opoki, rzuca

się on prostopadle dwóma pasmami kilkunasto-łokciowej szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jej wyżłobienie i wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej; a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 50 sążni. Lecąca woda połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa poblizsze miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam, będącym około godziny drugiej z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Ma to być przysionek z lodu otaczający Siklawą wodę. Niepodobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu rozsianych pod tysięcznymi kształtami; i zapewno że takie dzieło mgły niedojrzanej prawie, musi być nadzwyczajne.

*Gdybym jednak był  
olbrzymem i chciał  
pustelnicze życie prowadzić,  
obrałbym bez wahania się to  
miejsce na moją pieczarę, tyle  
znalazłem w niem uroku przy  
najdzikszej samotności*

Czas naglił; dziś  
jeszcze mieliśmy być  
przy Morskiem Oku.  
Musiałem gwałt  
zadać oczom i  
upojonym czuciom, i  
pożegnać wodospad.  
Pięcio-stawy były  
teraz celem naszej  
podróży. Ta sama

woda przewodniczyła mi i dalej, drogą równie trudzącą po głazach i siatce kozodrzewia. Sto-kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłej, a raczej ubocza i to przykrego, po którym śród zwaliska głazów szumi i huczy potok, także wodospad ale nieco wolniejszy i węższy jak Siklawka

woda, postawiły mię w okolicy, jakiej nic podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraźnia nigdy mi nie przedstawiła. Znalazłem się wśród pustyni skał, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć mógłbym przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior, — nad jednym z nich stałem; gdzie niegdzie nad wodą zarośle kozodrzewin, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskru, pliszka niby zabłąkana, zresztą Pan tej całej dziedziny, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to miejsce na moją pieczarę, tyle znalazłem w niem uroku przy najdzikszej samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocioł; dno jego we trzy piętra: najniższe zalane okrągłym jeziorem z którego wypływa potok tworzący Siklawą wodę; brzegi jeziora uzielenione gdzie niegdzie kozodrzewiem i trawą; po lewej ręce, patrząc w południe dwa mniejsze jeziora, jedno za drugim, po prawej trzecie także niewielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszem, a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wąskimi strumykami ze środkowym najobszerniejszym; kamienna samotny szałas nad jeziorem najwyższym, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia; echo Siklawej wody krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mię do kąpieli w jeziorze nad którym znalazłem się, chciałem też niby ochrzcić się jako przypuszczony już do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla nadzwyczajnie zimnej wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu-stawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu Oku. Była czwarta z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę Mnich zwaną, u jej to podnóża na stronie przeciwnej leży Morskie Oko; ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich: samo wejrzenie na owe skały nagie, prostopadłe, już nie jednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojej głowy i zręczności nóg, postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt i to wyboczenie nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

*Jest-to jedno z tych miejsc,  
które mniej śmieli przebywają  
tym sposobem, że im  
zawiażują oczy i postępują  
prowadzeni przez dwóch  
górali, z których jeden idzie  
przodem a drugi z tyłu*

Z początku, doliną Pięciu-stawów, szło nam jako tako: nie było tam innych zawał jak ogromne kotliny, zawałone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami jak dziś

Pięcio-stawy, ale w tej chwili zupełnie są bezwodne, dopiero stanąwszy na uboczu gór wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić jakokolwiek, przedstawivszy górę tak wysoką, że dolina Rostok długa przynajmniej półtory mili, zdawała się niemieć jak kilkaset sążni, a przytem gładką prostopadłą niemal i ścieżkę równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, zaledwie poznaczoną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie roskoszy niebezpieczeństw. Jest-to jedno z tych miejsc, które mniej

śmieli przebywają tym sposobem, że im zawiązują oczy i postępują prowadzeni przez dwóch górali, z których jeden idzie przodem a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności jakie okazywałem w tej przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznym oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy chcąc wypocząć, nie mogłem inaczej tylko oparłszy się o górę której bokiem szedłem — takiej prostopadłości są te ściany, a w tedy pod nogami miałem przepaść, nad którą podemną tylko orły krążyły.

Po takiej przeprawie dościgliśmy wreszcie grzbietu Swistowej góry. Z tej wysokości, w ogromnej pod nami głębi, dójrzeliliśmy Morskie Oko; wtedy poznaliśmy jak znacznie wyżej leżą Pięcio-stawy.

Około 6-tej stanęliśmy nad Morskiem Okiem.

To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi, (nie tej którą myśmy wzięli) jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a nie jeden opisuje. Morskie Oko nie zrobiło na mnie wrażenia jakiego się spodziewałem, niezawodnie dla tego żem już widział Pięcio-stawy. Mimo to zasługuje na to co o niem mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów; brzegów tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dójrzeć niemożna, a czemu na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, tak mniejszem wydaje się z powodu olbrzymich wysokości

które je dokoła otaczają. I my byliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o niem. W nadziei że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wiosła silnie pędziliśmy; w półgodziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach, nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego Oka jest niezmierna. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego Oka jest wir wielki.

*Powiadał mi człowiek  
wiarogodny i miał na to  
świadców, że w roku zeszłym  
ukazała się im niedaleko  
brzegu ryba z głową nad wodę  
podniesioną, do kociej  
podobną*

Ryby dają się tu  
widzieć, a czasem  
nieznanego rodzaju.  
Powiadał mi  
człowiek wiarogodny  
i miał na to  
świadców, że w roku  
zeszłym ukazała się  
im niedaleko brzegu  
ryba z głową nad

wodę podniesioną, do kociej podobną. Gorale także powiadaią, że przed laty kilkunastu, jakaś ryba nieznaną im, porywała pijące owce a szczególnie czarne: pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia skoro się pokazała i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej niż szklanna, przypomina to co wiemy o przezroczystości wody północnych stron Oceanu: na dnie kilkunasto-sążniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego Oka. — Pierwszym jest jezioro zwane Czarny-Staw. Leży one we wschodniej stronie Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nabrzeżnych, ale na podniesieniu wyższym mniej więcej o sto sążni. Jest-to jakby ustęp w skałach Morskiego oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista Mnich zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego Zakonnika z odrzuconym kapturem; a dłuższe wpatrzenie się, daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego-Stawu i potoku który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem: zdaje się że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi. gdyż odchód wody tworzącej Białkę, każe się domyślać obfitego jej przypływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca, jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro, i w chwili kiedy głuźnie w jednym punkcie,

odzywa się w drugim z tem większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rokoszną tę okolicę. Słoneczna łuna błąkała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjezdnem i pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie czekające nas przy Morskiem Oku i wróciliśmy do Leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przyprowadziła.

Taka podróż niemoże zaspokoić, rozdrażni tylko, przez pół odsłoni wdzięki gór; pragnąłem ją powtórzyć, inaczej się stało; musiałem przestać na 13 Sierpnia.

*Seweryn Goszczyński*